LUDEVÍT ŠTÚR
(1815—1856)

ZE «ŚPIEWÓW I PIEŚNI»

Płynęły lata, a lud nie powstawa,
Bo mu się żaden witeź nie nagodzi;
Już uciśnionych kryje mogił trawa
I czas już innych do grobu zawodzi,
Wieki mijają... a Słowacy drzemią...
. . . . . .

A tam ze starych sławy pamiątek
Doniosły głos się wyłoni,
A ten doliną płynie i pada,
Jak gdy dzwon wieczór zadzwoni...
kogoż wzbudzi głos ten żałosny,
Kto powstrzyma ten proces gnicia,
Kto stanie wielki na te wyżyny
I zagrzmi hasłem: «do życia!»?
. . . . . .

Jest nad czem płakać — na ojców ziemi
Oddawna ciężkie czasy;
Gdzie przedtem dumne stały pałace,
Biedne dziś widać szałasy;
Naród, o którym wieść szła po świecie,
Teraz niewola gładzi.
Gdzież ten szczęśliwy, co mu przywróci
Dni piękne, dni dawnej sławy?...

Tłum. Roman Zawiliński.

SAMO CHALÚPKA
(1812—1883)

WIEJE WICHER, WIEJE...

Wieje wicher, wieje od Tatr do Dunaju,
Smutne głosy idą po słowackim kraju.

Po słowackim kraju takie wieści płyną,
Nie wrócą te czasy, skoro już przeminą.

Czasy nasze, czasy, czasy sławy starej,
Gdy nad Nitrą wiały słowackie sztandary.

Hej, Nitra, złoty tron króla Swatopluka,
Gdy o nim pomyślę, serce głośniej stuka.

Byleżeśmy byli między narodami,
Jako ten nasz Krywań nad temi Tatrami.
. . . . . .

Stoi jeszcze, stoi Krywań nad Tatrami,
Będzie Słowak, czem był, między narodami.

Tłum. Roman Zawiliński.

JÓZEF MILOSLAV HURBAN
(1817—1888)

ŻAL SŁOWAKA

Pójdź, ma piszczałko! Siądziemy na skale,
Po siwych górach puszczę twoje dźwięki.
Dni utrapionych niechaj głoszą żale,
Ciężkich mąk naszych niechaj głoszą jęki.
Gdzie nad narodem smutna przemoc włada,
Cichym się tylko jękiem żal spowiada.

Ucichły nasze harfy a cymbały,
I sława Wielkiej Morawy przebrzmiała.
Wieszcze na lipach harfy powieszały,
Gdzie je złośliwa burza potrzaskała.
Skromne nam ledwie piszczałki zostały,
Któremi twarde rozbudzamy skały.

Czasami słowik z jaworów wzniesionych
Wdół zlata, siada na ciemną olszynę
I wśród gałęzi ukryty zielonych
Pociesza z wiosną słowiańską rodzinę.
Lecz wiatr przeciwny unosi słowika —
I wraz ostatnia pociecha z nim znika.

Smętna piszczałko, pójdźże tedy ze mną!
Twoim ja dźwiękom zwierzę moje żale.
Na gór wierzchołki, w lasów czeluść ciemną
Pójdziemy — siądziem na najdzikszej skale —
Z góry do ludu zbiegną twoje dźwięki,
Niosąc pociechę, kojąc jego męki.

Tłum. Roman Zmorski.

ONDŘEJ SLÁDKOVIČ (BRAXATORIS)
(1820—1872)

Z «DETVANA[1]»

Taki już lud ten, piękny w biedzie,
Że radości swe w żalach śpiewa;
Niby najszczęśniej mu się wiedzie,
A zda się — w żalach omdlewa.
To tak jest: przeczuciem chwyta żale,
Których świadomość nie zna wcale,
Które w nim jeno mędrcy stwierdzają;
A żywot jego zawsze się śmieje,
Obcy mu strach jest, obce — nadzieje,
Co ten nasz świat przewiewają.

«Zaśpiewa mu ptaszę na kosodrzewinie» —
On czuje, co jest w tym śpiewie.
«Co komu sądzone, to go nie minie» —
Domyśla się, czego nikt nie wie.
Sądzi, że niema bied, prócz dziedzicznych,
Żyje w radościach trwałych a licznych,
Jak żyli w nich pradziadowie;
Przeszłość on piękną wysnuł z bajania,
A przyszłość całkiem mu zasłania
Pogląd, co utkwił raz w głowie.

Żałuje, gdy każe zwyczaj stały,
Zgodnie z nim też — się zabawia,
Śpiewa, jak jeszcze babki śpiewały,
Mową praszczurów przemawia.
A nagle zaklnie, jak błyskawica,
Lecz kogo sklął, tym wnet się zachwyca,
To jest wzburzony, to pełen spokoju;
W cichej dolinie lubuje mu chata,
To znów, jak orlę, po szczytach lata.

Tłum. Alfred Tom.

SVETOZÁR HURBAN VAJANSKÝ
(1847—1916)

ROMANS

Przez zamglonej łąki toń,
Co wyskoczy rumak-koń,
Pędzi rycerz piękny, młody,
Jakby z wichrem szedł w zawody...
Wstrzymaj konia, o, szalony,
Noc cię chwyci w czarne szpony!

Welon mgły na drogach legł,
Rycerz wciąż podwaja bieg
I przez gąszcze i przeguby,
Jak na skrzydłach, mknie do lubej...
A wśród lasu zwilgniałego
Wróg już czai się na niego.

[1] D-owie — szczep słowacki w okolicach Tatr.

W każdy szelest, szum i wiew
Najpiękniejsza z pośród dziew
Wciąż wsłuchuje się daremnie,
Zapatrzona w nocne ciemnie...
Wichr na polach jeno hula —
W młodej piersi tkwi już kula.

Tłum. Remigjusz Kwiatkowski.

POCIECHA

Miłowałem piękne dziewczę,
Siwe oczy miało,
Poszło zamąż za innego,
Za strzelca pod skałą.

Długom płakał, łez potoki
Lejąc żałościwe,
Że mię srodze okłamały
Te oczęta siwe.

Dobrze, iż mię okłamały!
Z dziewy dziś zła żona, —
A pieśń rzewna płynie z głębi
Zbolałego łona.

Dziś zła żona męża swego
Dręczy wciąż i grzeszy,
A ta moja pieśń żałosna
Wasze serca cieszy.

Tłum. Bronisław Grabowski.

HVIEZDOSLAV (PAVOL ORSZÁGH)
(1849—1921)

Z «PIEŚNI»

Jam głos, co woła na pustyni
I wciąż bez echa trwogę czyni...
Gdyby tak prorok zszedł do ludu,
I pośród znoju, łez i trudu
Nie wydał plonu jego siew,
Przekląłby pracę swą daremną
I wyższy ponad rzeszę ciemną
Sobie-by tylko nucił śpiew.
Lecz jam nie prorok... Z ludem wraz
Chcę dzielić wszystkie jego bole,
I jasne dni, i burzy czas,
I wśród nieszczęścia szarą dolę...
I wołam zawsze i bez końca:
«Za mną! Do słońca, wciąż do słońca!»
Lecz wokół noc i kłębny mrok,
Cisza i żadnej odpowiedzi,
Daremnie ślę spłakany wzrok,
A słuch najmniejszy szelest śledzi...
Trawiony bólem i tęsknotą,
Wypuszczam z dłoni harfę złotą.
Po chwili jednak gram na nowo,
A w rozełkanej struny brzęk
Wpada bolesny serca jęk...
I z opuszczoną smutnie głową,
Niepewny, czy mnie kto usłyszy,
Wezwania nowe rzucam w ciszy...

Tłum. Remigjusz Kwiatkowski.

LITOŚCI, BOŻE, DLA LUDU MOJEGO!

Myśmy tak drobni, słabi i spętani
W niewoli, jako wichrem gnana chmurka,
Jak łań spłoszona, jak czyżyk schwytany.
Ty daj mu wodza, Ty mu poślij wieszcza
I apostoła, aby go przez puszczę
Wiódł i do kraju doprowadził, w którym
Źródło i żniwo — by w pięknych obrazach
Roztoczył przed nim przyszłości złotogłów
I wprawił w zachwyt, w obumarłe serce,
Co drga w niemocy, gromem słowa wpadnie;
Z martwoty tak je do żywota zbudzi,
Ludzkiej godności osłoni zarazem
Skarb nieprzedajny i nienaruszalną

Da mu naukę prawdy, która zawsze
Niesie swobodę i tak wszystko złoży,
Że zrzuci zmorę, co mu krew wypija.
Promiennym czynem, ożywiony wolą
Wstąpienia w Ciebie, kiedyś święcić będzie
To — w ciałach jeszcze duszy wniebowzięcie...

Tłum. Jan Magiera.

MARCIN KUKUČIN (MATEJ BENCÚR)
(1860—1928)

CIENIE I ŚWIATŁO
(Wyjątki)

Pierwsza od Boga, druga od ludzi, trzecia od czarta...

Taką drabinę dał los pod nogi Jędrzejowi Kutraniowi. Zaczął od wierzchu i zeszedł po niej aż na najniższy szczebel, na granicę rozpaczy. Ktoby go dziś poznał, siedzącego na progu z siwą, w dłonie schowaną głową? Włosy wysunęły mu się z poza ucha i, w swobodnych kosmykach wisząc, ocieniają chudą rękę z nabrzmiałemi żyłami. Odzież jego zaniedbana, łata na łacie. Krypcie przywiązane domowym wyrobem, konopnemi sznurkami, bo «na rzemienie nie starczy, skoro się nie zarobi» — mawia jego żona Marjanna, gdy jej to sąsiedzi wytykają.

Ostatecznie niema stworzenia, do któregoby się słoneczko przynajmniej kiedy niekiedy nie uśmiechnęło. Uśmiecha się więc i do Jędrzeja i ogrzewa jego stare nogi. Zeszłej zimy mawiał, że się już nie ogrzeje przy nowem słoneczku, a oto ogrzewa się.

. . . . . .

Byłby może po dziś dzień był wdowcem, ale ludzie mu nie dali spokoju. Chociaż już prawie sześćdziesiąt lat liczył, przecież był Jędrzej pożądany na męża. Liczne serca wzdychały za nim potajemnie, a właściwie za jego dwureńskówkami, które miał mierzyć ćwiercią. Z apatji wyprowadziły go nagle bajki, i zaczął się wokoło z pewną trzeźwością oglądać. Oko jego spotkało się niepostrzeżenie z czarnem okiem wiejskiej krasawicy i mimowolnie na niem spoczęło. Płomień, który w niem błyszczał, roztopił lodową powłokę, pod wpływem czarnych oczu zbladł w sercu jego obraz pierwszej miłości. Jędrzej czuł, że powinnością żywych jest zapomnieć o umarłych, a cieszyć się z żywymi...

Tak oto stał się mężem swej Marjanny. Nie szło to wprawdzie tak szybko, jak się mówi albo jakby tego był Jędrzej pragnął. Młoda żona stawiała rozmaite warunki. Któż się zdoła oprzeć miłości, zwłaszcza, gdy mówi przez tak różowe usta do starego, prawie już osiwiałego wdowca? Jędrzej zapisał żonie wszystko, a jemu zostało z całego wielkiego majątku tylko dożywocie.

Dożywocie u kochającej żony znaczy więcej, niż skarby Sardanapalowe. Ale dożywocie u młodej, pięknej djablicy zmienia się w samą truciznę. Taką to trucizną od tej godziny prawie karmiła Marjanna swego starego męża. Kij żebraczy wydawał mu się berłem królewskiem. Byłby się go już dawno chwycił, ale nie mógł się wydostać z jarzma, które sobie sam na szyję włożył. Jedynem wyjściem wydała mu się śmierć, pragnienia jego zwracały się tylko ku niej, jak pragnienie każdego zmarnowanego życia, osłabionego nadto jeszcze starością.

Ileż to razy pogrążał się w dawnych wspomnieniach! Było to jedyne, co mu jeszcze pozostało i w czem jego dusza znajdowała nieco uspokojenia.

. . . . . .

Słońce zaszło, a Marjanna Kutraniowa wróciła do zagrody. Najpierw rzuciła okiem na szopę. Twarz jej zapłonęła gniewem: kupa gałęzi była nietknięta. Zrzuciła w sieni tobołek, oparła grabie o ścianę i pewnym krokiem weszła do izby. Była na to przygotowana, że jej mąż nie porąbie chróstu, więc się przysposobiła, aby go wyłajać. Przez drogę wymyśliła sobie nową serję wyrzutów, aby mu je w twarz cisnąć.

Mąż leżał na łóżku. Nie był rozebrany, lecz pierzyny były odsunięte do końca. To ją znów ubodło...

— Znów się wylegujesz! Doprawdy radabym wiedzieć, kiedy się do licha już wyśpisz. Niema człowieka na świecie, któryby tyle drzemał. Nie byłoby dziwne, gdybyś z lenistwa zgnił zażywa, aby... Cóżto, ani się ruszy!?

Jędrzej leżał na łóżku, ani jednym członkiem nie ruszając. Marjanna przyskoczyła do niego i targnęła go za ramię.

— Wstańże już raz! Jak się we dnie wyśpisz, nie żal się potem, że w nocy oka zmrużyć nie możesz. Cóż, nie wstajesz?

— Nie mogę — odpowiedział Jędrzej słabym głosem.

Marjanna zaśmiała się złośliwie.

— Nie może, ustał przy robocie! Był od rana przy sianie, na skwarze; wyniósł na ugór czternaście brzemion albo może grabił dzień cały!

— Gdybym mógł, robiłbym.

— Milcz, ty leniuchu! Cóż, porąbałeś gałęzie? Nie mógł — rąbać nie może, ale jeść — do miski jest go dosyć.

— Nie będę ci długo zawadzał. Mój obiad jest tam, pod ogniskiem. Pewnie ci go żal. Weź go sobie i zjedz, mnie go już nie trzeba.

Obrócił się do ściany i jęczał. Marjanna spojrzała nań złośliwie i weszła do kuchni. Na kominie stał obiad Jędrzeja — nietknięty. Kasza, uwarzona jeszcze rano, trąciła kwasem; na ciepłem miejscu skisła. Marjanna wróciła do izby, niepewnem okiem patrzyła na łóżko i stała długo, długo. Sposobiła się do jakiegoś nowego, niesłychanego czynu; jej piękna twarz miała wyraz walki, jaką z sobą toczyła. Nakoniec przystąpiła do łóżka i przemówiła:

— Jędruś, śpisz? Co ci jest?

Jej głos był miększy, niż zwykle, a w uszach Jędrzeja brzmiał jak śpiew anielski. Przeszły lata i lata, a on jej nie słyszał, aby tak mówiła. Byłby wyskoczył na równe nogi z łóżka, byłby ją wyściskał, byłby ją na kolanach przepraszał, ale nie mógł się ruszyć. Jakieś nagłe omdlenie ogarnęło jego serce i czyniło nieruchomemi i tak ciężkie jego członki. Nie odpowiadał, aby tylko to słodkie pytanie jeszcze powtórzyła.

— Jędruś! Jędruś! Co ci się stało?

Głos jej był jeszcze miększy, przez twarz jej przebiegł jakiś przestrach. Pochyliła się nad nim, jakby mu chciała w twarz zajrzeć. Jędrzej czuł jej dech bliski, jakieś rozrzewnienie ogarnęło jego duszę. Oczy przymknął powiekami.

— Czemu się przede mną kryjesz? Jędruś — ja się boję, proszę cię...

Jędrzej nie mógł dłużej wytrzymać. Obrócił się ku niej twarzą i długo patrzył na nią. Zdawało mu się, że na jej młodej, pięknej twarzy widnieje jakiś nieuchwytny rys czułości. Może to miłość! — — —

...Głowa mu opadła na poduszki, a na sercu poczuł lodowatą rękę śmierci. Coś mu mówiło, że już wytknięty cel, koniec utrapieniom. Wzdrygnął się na myśl o tej chwili, a usta westchnęły: «Jeszcze nie! jeszcze nie!»

— Idź mi po siostrę i po wójta.

— Naco, naco ci wójt? — Zbladła z przerażenia i strachu.

— Pożegnać się z nimi i zrobić porządek. I prorok mówił do króla: «Zarządź domem swoim, albowiem umrzesz».

Marjanna zarzuciła na siebie chustkę, nawet nie przygładziła czarnych włosów pod szerokim czepcem. W pośpiechu wybiegła, jakgdyby chciała dowieść, że śmierć nie czeka.

Za małe pół godzinki wbiegła przelękniona Zofja, a za nią wójt z Marjanną.

— Tegom się spodziewała, ja to przeczułam. Mógłby jeszcze żyć, gdyby miał opiekę — mówiła Zofja, rozgoryczona. — Uważcie sobie tylko, dusza mu już siedziała na karku, a ona mu kazała drzewo rąbać. A co się go nagryzła; górni i dolni sąsiedzi najlepiej wiedzą!

Marjanna nic jej nie odpowiadała. Nie z gniewu, ale czuła, że ją to uspokaja, gdy słyszy swoje grzechy.

— Spojrzyjcie na te jego szaty! Wójcie, spojrzyjcie: z Kutraniowego gospodarstwa na lepsze szaty nie starczy! Możecie to tak zostawić?

— E, co tam szaty, jakie były, takie się nosiło. Wójcie, chciałem wam... Tu mi z gospodarstwa zostało 12 zł. r. srebrem. Każecie mnie pochować, będzie mowa i wiersze.

— Dobrze, żeś jej tych przynajmniej nie dał. Musieliby cię z litości pogrzebać, jak żebraka. Ani na cmentarzby cię nie puściła, kazałaby cię pogrzebać za murem.

— To nieprawda! — krzyknęła z bólu Marjanna — ja sobie go sama każę pogrzebać, jak chrześcijanina. Jego pieniędzy nie potrzebuję!

— Daj temu pokój, Marjanno. To jest moja wola. Przysporzysz sobie wydatków, to wiele kosztuje, lata są złe, niech was Bóg ma w opiece!

— Oj, już umiera mój brat kochany! — krzyknęła Zofja i rzuciła się na bezwładne ciało Jędrzeja. — Umiera, jak żebrak, obtargany, opuszczony!

Marjanna przystąpiła do śmiertelnego łoża, ale Zofja ją odepchnęła.

— Idź sobie przed zwierciadło! Trzeba ci będzie ładniej się ubierać! Jutro już będziesz wdową, trzeba będzie się wydać. Nie zbliżaj się do łóżka...

— Nie gadajcie takich słów nijakich przy tem łożu śmiertelnem — napominał ją wójt. — Co było, no, jak było, ale tego już za wiele.

— Nie za wiele! to jest mało! Ja wam to udowodnię! — Zofja wybiegła do kuchni i przyniosła obiad brata. — Patrzcie, tak go żywiła. Przekwaszoną kaszą go żywiła! Umiera, bo musi, z głodu! Ale ja nie daruję: wszystko to opowiem. To wszystko musi być w mowie księdza i w wierszach. Każdy musi wiedzieć o tem, co wycierpiał ten chory nieborak. To wszystko ksiądz wypowie!...

Wójt spojrzał na jadło i ściągnął brwi ponuro.

— Dla kogoś to warzyła, Marjanno? Ja nie mogę uwierzyć, aby to było dla męża, bo ten ma zaintabulowane dożywocie porządne. Dla kogoś to nawarzyła?

Marjanna stała, jak posąg. Pragnęła się zapaść w ziemię, wstydziła się niezmiernie.

— Tak, to musi być w mowie, musi! — zawołał wójt rozgniewany. — Ja sam pójdę na plebanję. Wy — odwrócił się do Zofji — wy tu zostańcie, aby się mu co nie stało; miejcie się dobrze.

Jędrzej leżał na łóżku, przy nim siedziała jego siostra. Marjanna odeszła do komory. Nazajutrz wróciła do izby z opuchniętemi oczyma. Całą noc spędziła we łzach i na modlitwie. Pragnieniem jej było, aby jej Bóg dozwolił wynagrodzić dawne błędy...

Chociaż Jędrzej Kutrań już zapłacił był nawet za pogrzeb, żyje do dnia dzisiejszego. Ledwoby go kto poznał, tak jakoś odmłodniał. Nie żyje już tylko wspomnieniami, ale miłą teraźniejszością. Dwanaście złotych, które taki zwrot spowodowały w jego życiu, ofiarował na kościół Boży. O pogrzebie jeszcze nie myśli, a gdyby go Pan Bóg powołał do siebie, ma go już kto pogrzebać.

Tłum. Roman Zawiliński.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.